



Agnieszka Hatas

Muzyka

dla szczurów

RW2010

AGNIESZKA HAŁAS
MUZYKA DLA SZCZURÓW

Pierwodruk: zbiór „Między otchłanią a morzem”, Dom Wydawniczy Ares, Katowice 2004

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012
Redakcja techniczna: zespół RW2010
Copyright © Agnieszka Hałas 2012
Okładka Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

*Dotknij mnie a ja wleczę ponad tobą tęczę
Weź wszystko co chcesz
Niech wiruje świat kolorami twoich dźwięków
Dotknij mnie a ja...
(Artrosis, „A ja”)*

1. Cmentarz

Niebo nad spiczastymi dachami Shan Vaola miało odcień przyćmionej purpury. Na horyzoncie jarzyła się szkarłatna łuna, od której fale Zatoki Snów zabarwiły się na kolor krwi. Coś działo się na Wyspie Salamander; srebrni magowie splekli jakiś potężny czar, którego świetlne echo rozbrzmiewało teraz w powietrzu i wodzie. Mieszkańcy miasta nigdy nie mieli się dowiedzieć, co to było za zaklęcie i w jakim celu je rzucono. Elita dobrze strzegła swoich sekretów przed zwykłymi śmiertelnikami.

Na starym cmentarzu za miastem było chłodno i mrocznie. Korony rozłożystych lip i dębów tworzyły w górze czarny dach. W ich cieniu majaczyły groby. Czas pozacierał inskrypcje wyryte na kamiennych płytach. Części nagrobków dłuto rzeźbiarza nadało wymyślne kształty – lwów, smoków, syren. Niektóre grubą warstwą pokrywał mech. Inne z biegiem lat zapadły się głęboko w ziemię albo obrosły krzakami. Tylko nieliczne wciąż wyglądały na takie, którymi ktoś się opiekuje. Czasy się zmieniły, pod wpływem nauk Elity ludzie porzucili dawne wierzenia i przestali przywiązywać wagę do pamięci o zmarłych.

Czterej obdarci mężczyźni, którzy rozsiedli się pod pomnikiem szlachcica w paradnych szatach, nie byli wyjątkiem od reguły. Nie przyszli tu, by się modlić, lecz w zdecydowanie bardziej przyziemnym celu. Przed nimi na płycie nagrobnej leżało kilka zatłuszczonych zawiniątek z mniej lub bardziej apetyczną zawartością, zaś otwarta dopiero co butelka wódki krążyła z rąk do rąk.

Nagle drzemiący nieopodal na trawie kudłaty psiak zastrzygł uszami, po czym poderwał się i zaczął ujadać jak szalony. Od strony bramy wejściowej zbliżała się ciemna postać.

– Spokój, Mucha! Leżeć! – krzyknął, nie odwracając się, najstarszy z mężczyzn, siwy i barczysty. Siedzący naprzeciwko niego chudy jak szczapa typ w kamizeli z króliczych skórek klasnął w ręce, widząc, że nadchodzącym jest odmieniec o nadzwyczaj długiej, rozkudłanej sierści.

– A, to ty, Kołtun! Witamy, witamy! Co tam za flachę taszczysz? Wódzia czy winko?

Odmieniec wybełkotał coś niezrozumiale, stawiając pękatą butlę obok pozostałych dóbr. Chudzielec natychmiast ją złapał, odkorkował i spróbował zawartości.

– Porzeczkowe! – wykrzyknął tonem pełnym aprobaty. Szturchnął sąsiada, przyszczatego chłopaka o rozbieganych, złodziejskich oczkach. – Patrzaj, Simmel, nawet futrzak wińsko skombinował. A ty co, chytrusie? Ani ogryzka nie przyniosłeś, ino cudze żresz! Nie wstyd ci, mordo nienapasiona?

Pryszczaty coś usiłował odwarknąć, ale nie dało się zrozumieć co, bo usta miał zapchane chlebem z cebulą i wędzonym śledziem.

Przyszukowali sobie może nie ucztę, ale całkiem solidną wieczerzę: razowiec, słonina, cztery lekko podśmierdzące śledzie, z dziesięć cebul i prawie całe pęto kiełbasy – prawdziwy rarytas dla ludzi jadających mięso od święta. Kiełbasę przyniósł stary Veljanov, szczurołap, który poprzedniego dnia dostał od jakiegoś rzeźnika zapłatę w naturze. On też zatroszczył się o gorzałkę; wiedział najlepiej, gdzie można dostać tanią a dobrą.

Kołtun znowu zabełkotał po swojemu, sadowiąc się pomiędzy kompanami.

– Futrzak ma rację. Szyszka, zapal no świecę, bo już zmierzcha – rzucił Veljanov. Brzydki jak noc typ w usmolonym odzieniu kominiarza posłusznie jął grzebać w torbie, aż wygrzebał łójówkę i krzesiwo. W chwilę później pełgające światło wydobyło z mroku kontury nagrobków. Trawę pokryły pręgi cieni.

Simmel dojadł swoją pajdę i nie bacząc na karcące spojrzenie chudzielca, natychmiast ukroił sobie następną, którą obłożył obficie kiełbasą. Kołtun wybrał największą cebulę i zaczął ją chrupać jak jabłko.

Szyszka, gderając pod nosem, zapiął usmarowany sadzami kaftan; od ziemi coraz bardziej ciągnęło chłodem. Chudzielec pociągnął długi łyk wina i przekazał butlę kominiarzowi. Veljanov rzucił psu skórkę od słoniny.

– Ty, Szyszka... – odezwał się z pełnymi ustami Simmel. – Słyszałeś, że Krwawy Leo ma się żenić?

– Taa... Prędzej świnie latać będą – prychnął zagadnięty. Przezwiskiem Krwawy Leo złośliwi bywalcy tawerny „Pod Byczą Głową” obdarzyli nadzwyczaj tępego wykidajkę.

– Niech mnie parchy obsypią, jeśli mi zełgał! I to z córką właściciela.

– Z którą? – zainteresował się chudzielec, odrzucając objedzony do czysta szkielet śledzia. – Z tą zezowatą czy z tą kulawą?

– Nie gadaj, Edwin, one obie nadobniejsze od ciebie! – Szyszka zarechotał. – Nie lubisz ich, bo cię żadna nie chciała, choć słyszałem, jakieś się do obu zalecał po pijaku!

– Weź, kurwa, zawrzyj mordę, bo... – Edwin poczerwieniał, zaciskając pięści; widocznie drwina trafiła w czuły punkt.

– Bo co mi zrobisz, no?

– Spokój, psia wasza mać! – uciszył ich Veljanov. Usłuchali natychmiast; z racji wieku cieszył się w grupce największym poważaniem.

Na jakiś czas zapadła cisza, przerywana jedynie głośnym mlaskaniem Kołtuna, który dojadłszy cebulę, zabrał się do kielbasy.

– Ty, Szyszka... – odezwał się znowu Simmel. – Powiadają, że Krzyczący w Ciemności wrócił.

Widziano go.

– Kto niby?

– Ten poharatany na gębie czarownik z Podziemi. Przed laty głośno było o nim, a potem cicho. I teraz znowuż plotki chodzą, że się pojawił.

– Zara, to on żyje? Słyszałem, że zginął dawno temu w obławie.

– Nieprawda – mruknął szczurołap, zajęty wycieraniem kozika o trawę.

– Skąd wiecie? – zainteresował się chłopak. – Pamiętacie, jak naprawdę było?

– Ano. – Stary wyprostował się, stękając, gdy coś mu strzyknęło w krzyżu. Świadom tego, że cztery pary oczu wpatrują się w niego z zaciekawieniem, nie spieszył się, ważąc każde słowo. – Była obława, a jakże... Ale żmij z niej uszedł. Zabił Trójokiego. Do kroćset, czego później nie opowiadano o tym ich pojedynku! Pewno, mogły se pleciugi pleść ile wola, skoro nikt nie widział, jak naprawdę było. Tak czy owak, Trójoki padł. A o Krzyczącym wkrótce potem wszelki słuch zaginął. Nikt nie wie, co się z nim stało. Byli tacy, co twierdzili, że się pokumał z gorszymi od siebie... wiecie, z tymi, co to strach imienia nieczystego wzywać. – Veljanov splunął, składając palce w chroniący od uroku znak. – I że drogo zapłacił za to, bo go żywcem porwali do Otchłani. Ja tam myślę, że go raczej srebrni dopadli, ino my nic o tym nie wiemy.

– Przeklętych nie tak łatwo zabić – mruknął z powątpiewaniem kominiarz. – Od jednego szkolara słyszałem kiedyś, że choćby takiego mieczem porąbać na kawałki, a te spalić, nic to nie da, bo duch odrodzi się w innym ciele...

– Nie martw się, już srebrni wiedzą, co trza zrobić, by duch nie wracał. Od czego, myślisz, są Domy Godnego Odejścia? Do stu szczurzych ogonów, powiadam wam: nie wierzę, by Krzyczący jeszcze żył.

Mucha, korzystając z nieuwagi pana, wspięła się przednimi łapami na nagrobek, żeby skraść kęs kielbasy. Szyszka trzepnął ją czapką po grzbiecie.

– No, Simmel tu cosik inszego twierdzi – zauważył, uśmiechając się pobłaźliwie.

– Przecie mówię, widzieli go! – zaperzył się chłopak. – Nocą, niedaleko Rybiej Bramy.

– A co ty tam wiesz, gówniarzu! – Szczurołap machnął ręką. – Tyle, co z miski zjesz. Kto widział niby? Tałatajstwo duby smalone plecie, a ty we wszystko wierzysz.

– Garbata Bess gada, że widziała typa z trzema szramami na twarzy. To by się zgadzało, nie? Te

szramy, znaczy. – Simmel popatrzył na kominiarza. – Wy pamiętacie?

– Co mam pamiętać, jak go nigdy na oczy nie widziałem – obruszył się Szyszka.

– Listy gończe przecie chyba wisiały...

– Ano wisiały, ale już wówczas niektórzy gadali, że te jego blizny to pic na wodę... że nosi dla kaprysu taką pokancerowaną maskę, a naprawdę to nie człowiek, ino poczwara...

– A JA słyszałem – wtrącił Edwin, dotąd w milczeniu przysłuchujący się dyspacie – że srebrni rzucili na niego taki czar, uważacie, że odtąd słońca nie mógł znieść, bo mu paliło skórę. Dlatego musiał mieszkać w lochach...

– Bujdy – uciął szczurołap. – Ja go znałem dobrze i wiem: nie nosił nijakiej maski. Czy bał się słońca, nie pomnę. Ale chyba nie.

– Wyście go znali, Veljanov? Opowiedzcie cosik! – Simmelowi zaświeciły się oczy. – To prawda, co gadają, że kupował od grabarzy gnijące zwłoki, by z nich te, no... eliksiry czynić? Że pił krew dziewcząt?

– Gówno – podsumował zwięźle stary. – Durnie napletli, a durniejsi wierzą. Chcesz wiedzieć, jaki naprawdę był Krzyczący, Simmel? To słuchaj, co ci rzekę: porządny był. Niby mruc, ale szło się z nim dogadać. Z nikim pierwszy nie zadzierał, a bywało, że pomógł. Jak moja Mela zachorowała na ospę, to czuwał przy niej na zmianę ze mną, póki kryzys nie minął, i jeszcze przyniósł potem taką maść, po której krosty zeszły bez śladu...

– Coś kręcisz, Veljanov – wyraził powątpiewanie Szyszka. – Kto słyszał, żeby przekłeci pomagali chorym?

Szczurołap nie raczył odpowiedzieć. W zadumie oglądał pod światło flaszkę z resztką wódki.

– Minęło trzynaście lat z okładem, odkąd zniknął... Już go nikt więcej w tym mieście nie obaczy, pomnicie me słowa. Pewno szczerł gdzieś w Domu Godnego Odejścia... Srebrni prędzej czy później dopadną każdego przekłętego. – Pokręciwszy głową, łyknął trunku. – Czasem mi go brakuje, mówię wam. Mało tera na świecie ostało porządných ludzi.

– Co racja, to racja. W podłych czasach przyszło nam żyć, panowie. – Edwin, sięgając ponad głową Kołtuna, przywłaszczył sobie ostatni kawałek kielbasy. – Żarcie coraz droższe, kurwy coraz brzydsze, urzędasy coraz więcej kradną, młodzież miast pracować, pije i burdy wszczyna. Świat na psy schodzi, ot, co wam rzekę. A skoro o młodzieży mowa, jak tam twoja wnuczka, Veljanov? Chowa się zdrowo?

– Ano – przytaknął szczurołap, odstawiając pustą już flaszkę. Otarł rękawem usta. – Wzięli ją tera, uważacie, do teatru. Tańczy na scenie, nogami macha. A niech se macha, skoro grosz z tego mamy. Lada jaki, ale mamy.

– Ty jej lepiej dobrze pilnuj, bo to taki wiek... Wiadomo, jaka mać, taka córka... – Edwin zarechotał, odgryzając kęs chleba ze słoniną, a zaraz potem się zakrztusił, bo Veljanov złapał go za rękę, wykręcając nadgarstek. Mimo siedmiu krzyżyków na karku stary wciąż miał uchwyt jak stal.

– Nie waż się złego słowa rzec na moją Melę! Całe życie chadzała boso, w dziurawych sukienkach... Dziwisz się, że straciła głowę, gdy jej cudzoziemski dochtór złotem zaświecił w oczy? – Jeszcze mocniej wykręcił chudzielcowi rękę, tak że ten aż stęknął z bólu, po czym nagle puścił go i zgarbił się. Jego głos nabrał głuchego brzmienia. – Odpokutowała to później po stokroć. Szalała z żalości, gdy ją ten kurwi syn rzucił. Długo wierzyła, że przejrzy na oczy, wróci... urodziła mu przecie dzieciątko... A potem dostalim wieść, że on z córką kupca bierze ślub. I Mela tego samego dnia otruła się... Takim to sposobem, braciszku, zostałem sam, z małą ino. A z Melą, jak bogowie pozwolą, na tantym świecie niedługo się zobaczę... Tak, do stu szcurzych ogonów, już niedługo...

Simmel coś zamamrotał pod nosem, ale Szyszka, który dobrze znał szczurołapa, uciszył go groźnym spojrzeniem. Poklepał Veljanova po ramieniu i wznosił butlę z winem, wciąż jeszcze do połowy pełną.

– Wypijmy, wiara! Na pohybel dochtorem i całej reszcie.

2. Stara przyjaźń

Wieczór ustępował miejsca nocy. Wschodzący księżyc, ledwie widoczny zza chmur, miał niezdrową żółtą barwę. W jego świetle wąziutkie, kręte, cuchnące odpadkami i moczem uliczki najstarszej części miasta wyglądały jeszcze paskudniej niż za dnia.

W ciszy, jaka spowijała opustoszałe zaułki, kroki samotnego przechodnia rozbrzmiewały głośno i wyraźnie, odbijając się echem od brudnych murów. Człowiek w ciemnej oponczy z kapturem szedł szybko, nie rozglądając się. Doskonale wiedział, dokąd się kierować.

Doszedłszy do końca uliczki, zawahał się na sekundę, potem skręcił w głąb jednej z bram. Przeciął zachwaszczone podwórko, minął walący się płot, jakieś drewniane szopy, by w końcu stanąć przed drzwiami uzbrojonymi w potężną, choć rdzewiejącą kołatkę. Zakołatał raz, potem drugi, odczekał chwilę. Gdzieś we wnętrzu domu trzasnęły drzwi, zabrzmiało przybliżające się klapanie pantofli. Stuknął rygiel, drzwi uchyliły się o kilka cali, w szparze zamajaczyła pomarszczona twarz.

– Wy do kogo?

– Czy pan Ambers jest u siebie?

– Ano, jest – niezbyt przyjaźnie mruknęła kobieta. – Wy, znaczy się, do niego sprawę macie?

– Można to tak nazwać.

Staruszka zastanawiała się przez chwilę, potem wzruszyła ramionami i cofnęła się o krok.

– Wejdźcie.

Usłuchał. Natychmiast z powrotem zamknęła i zaryglowała drzwi.

– Tu strach po nocy na dwór wyjrzeć – objaśniła burkliwie, nie patrząc na rozmówcę. – Takie tera czasy parszywe... Zaczekajcie, pójdę spytać, czy pan Ambers was przyjmie.

Oddaliła się, nie czekając na odpowiedź. Przybysz, pozostawiony sam sobie, rozejrzał się z ciekawością. Ze ścian ciasnej sieni odpadał tynk, powietrze miało stęchłą woń pleśni i zaniedbania.

– Nie najlepiej, Vincent – szepnął, kręcąc głową.

Staruszka wróciła, gdy zaczynał się już zastanawiać, czy przypadkiem o nim nie zapomniała. Niosła kopczą łojuwkę.

Wyglądała na zawiedzioną, że nie znudził się czekaniem i nie poszedł sobie.

– Chodźcie – rzuciła, podejrzliwie zerkając to na podniszczone odzienie przybysza, to na ocienioną kapturem twarz. – Zaprowadzę was.

Pokój Ambersa mieścił się na poddaszu. Aby się tam dostać, należało pokonać dwa piętra stromych i krętych schodów oraz zawałony rupieciami strych. Płomyk świeczki oświetlał zaśniedziałe poręcze i wiszące na ścianach tandetne obrazki, a potem kalekie sprzęty, potłuczone lustra, skorupy garnków i podarte kołdry, porośnięte kożuchem wiekowego kurzu. Drzwi, do których w końcu dotarli, były uchylone, ale staruszka mimo to zatrzymała się i zapukała.

– Przeprowadziłam go, panie Ambers – powiedziała głośno.

– Niech wchodzi! – odparł głos z wnętrza.

Izba była nieduża, z pochyłym sufitem. W kącie stał żelazny piecyk – źródło zarówno ciepła, jak światła; przez uchylone drzwiczki widać było węgle żarzące się w jego pękatym brzuchu. Czerwonawy blask padał na skromne meble. Kufer z odrzuconym wiekiem, pełen pożółkłych ksiąg i zwojów pergaminu. Niskie łóżko przykryte kraciastym kocem. Chybotliwe biurko, zarzucone kartkami papieru i przyborami do pisania.

Przy biurku, podparłszy głowę rękami, siedział siwiejący mężczyzna; nie tyle stary, co przedwcześnie postarzały, wyniszczony troskami. Na widok wchodzących wstał i skłonił się sztywno.

– Witam w moich jakże skromnych progach. Z kim mam przyjemność?... – Uniósł lekko brwi, wyraźnie zdziwiony wizytą.

– Dostałem wiadomość. Nóż zardzewiał – powiedział cicho przybysz. Ambers znieruchomiał.

– Nethro, proszę, zostaw nas samych – rzucił. Kobieta chciała zaprotestować, ale na widok jego miny zrezygnowała i wycofała się, mamrocząc niechętnie pod nosem.

– No, no... – zamruczał Ambers, gdy tylko zamknęły się drzwi. – Któż by pomyślał? Nóż zardzewiał, powiadasz, przyjacielu? Zdejmij ten kaptur! Chcę zobaczyć twoją twarz.

Przybysz spełnił jego prośbę. Ambers wstrzymał oddech.

– Minęło trzynaście lat... – szepnął głucho, odzyskawszy głos. – Trzynaście lat, na bogów! A ty nie postarzałeś się nawet o dzień. Niech cię Otchłań, Brune! Gdybym nie zobaczył, nie uwierzyłbym...

– Zaskoczony? – Krzyczący w Ciemności uśmiechnął się lekko. – Chyba żartujesz. Mało się w swoim czasie naczytałeś tajemnych ksiąg? Powinieneś więcej wiedzieć o skażonej mocy niż ja. Do rzeczy, Vincent: co się dzieje?

– Zaraz ci wszystko opowiem. – Ambers ciężko westchnął. – Ale to za chwilę, dobrze? Usiądź, proszę, rozgość się. Kiepski ze mnie teraz gospodarz, nie bardzo mam cię czym podjąć... Nisko upadłem, jak widzisz. Coś dla zwilżenia gardła powinno się jednakowoż znaleźć...

Poszperał w zawalonym szpargałami kącie za łóżkiem. Po chwili na biurku stanęły pękaty gąsiorek i dwa kubki.

– Napijesz się?

– Czemu nie?

Wino było wytrawne, nadspodziewanie dobre. Sączyli je wolno, a cisza nabrzmiewała pytaniami. Rzecz zwykła, gdy dobrzy niegdyś znajomi spotykają się po długiej rozłące.

Ambers pierwszy przerwał milczenie.

– Wróciłeś... ze względu na mnie?

– To też. Ale wróciłbym tak czy siak. Można powiedzieć, że tylko przyspieszyłeś moją decyzję.

– Co robiłeś przez te wszystkie lata?

– Podróżowałem, kształciłem się. – Żmij uczynił nieokreślony ruch ręką i węgle w piecyku na sekundę zapłonęły jaśniej. – Umiem teraz dużo więcej niż kiedyś. – Uśmiechnął się, lecz ten uśmiech zaraz zgasł.

– Ciebie, widzę, los nie oszczędzał przez ten czas.

– Święte słowa. – Ambers zaśmiał się gorzko, rozglądając się po izbie, jakby sam nie mógł do końca uwierzyć, że mieszka w takich warunkach. – Kto by pomyślał, że tak oto skończę – ja, słynny literat i najpierwszy bawidamek dworu? Ideał sięgnął bruku, co? Cóż, ten cholerny świat zawsze był bezlitosny dla poetów. Na honor, teraz bardziej niż kiedykolwiek żałuję, że Zmroczka poskąpiła mi swego przekleństwa. Bogowie świadkami, że to by było po stokroć lepsze od...

– Nie, Vincent – uciął żmij z nadspodziewaną stanowczością. – Znów uderzasz w starą śpiewkę? Daruj, ale nie pozwolę, żebyś na trzeźwo wygadywał takie bzdury.

– I kto to mówi? – obruszył się poeta. – Ty, śmiem zauważyć, nie wyszedłeś źle na tym, że masz dar...

– Nie wiesz, co gadasz. Proszę, zostawmy ten temat. Powiedz mi, gdzie jest teraz Imella?

– Pojęcia nie mam. – Ambers spochmurniał momentalnie. – Rozstaliśmy się dawno temu. Nie wiem, co się z nią teraz dzieje. I nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

Wydawało się, że nie powie nic więcej, ale po chwili dodał ciszej:

– Imella odwróciła się ode mnie, tak samo jak wszyscy inni... Nie winię jej zresztą.

– Co się właściwie stało?

– A jak sądzisz? Zgodnie z przysłowiem, łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Wkrótce po twoim... wyjeździe... wylądowałem przed sądem.

– Tak bez powodu?

– W pewnym sensie bez. Oskarżono mnie... bynajmniej nie o konszachty z przekłętymi mocami, ale o udział w spisku na życie Najdostojniejszego.

– Bezpodstawnie, jak rozumiem? – Żmij uniósł brew. Poeta tylko się skrzywił.

– A jak sądzisz? Ale sąd był innego zdania. Oskarżyciel przedstawił świadków, jakichś podejrzanych typków, nie pamiętam nazwisk. Komuś bardzo zależało na tym, żebym został skazany, ale nie pytaj czemu, bo mnie też nie udało się tego dociec. Wykosztowałem się na zręcznego obrońcę i cudem wywinąłem się od szafotu. Skończyło się na konfiskacie majątku i wygnaniu. Po paru latach, gdy już znaleziono prawdziwych winowajców, łaskawie pozwolono mi wrócić, ale nie odzyskałem ani złamanego szeląga. Łaski pańskiej też nie.

– Długo tu mieszkasz?

– Będzie z osiem lat... Zresztą, nie wiem. Straciłem rachubę...

– Jesteś chory, prawda? Dlatego mnie wezwwałś?

– Skąd wiesz? – Poeta drgnął. Krzyczący w Ciemności machnął ręką.

– Wystarczy się przyjrzeć twojej aurze. Czego oczekujesz, Vincent? Nie uzdrowię cię, wiesz przecież.

– Wiem. Nie oczekuję uzdrowienia.

– Czego w takim razie?

Ambers spuścił wzrok. Wyjaśnił, jękając się trochę.

Zapadło milczenie, z każdą chwilą cięższe.

– Potrafisz, prawda? – spytał w końcu poeta.

– Potrafię – potwierdził z westchnieniem żmij. – Jak mówiłem, nauczyłem się sporo przez te lata. Choć nie będę ukrywał, że wolałbym, abyś poprosił o coś innego.

– Ale spełnisz moją prośbę?

– Tak. Jeśli jesteś pewien, że tego właśnie chcesz.

– Jestem pewien. – Ambers wychylił do dna zawartość kubka. – Wierz mi, dość miałem czasu, by się nad wszystkim zastanowić. Podjąłem decyzję i nie zmienię jej.

– W porządku. Przyjdę jutro o zachodzie słońca, teraz muszę się już zbierać.

– Tak szybko? – Poeta wyglądał na zawiedzionego. – Mógłbyś zostać jeszcze chwilę, powspominalibyśmy dawne czasy...

– Nie. Jeśli mam tu jutro wrócić, nie będę ryzykować. Ściany mają uszy, wiesz przecież. Poza tym czeka mnie parę spraw do załatwienia na moich starych śmieciach. – Żmij zaśmiał się cicho w taki sposób, że Ambersa mimo woli przeszedł dreszcz.

3. Podziemia

Pośrodku zdewastowanej krypty płonął stos połamanego drewna i śmieci. Dym ulatywał w górę, porwany prądem powietrza.

Wokół ognia tańczyło, zataczając się, kilkanaście obdartych postaci. Młodzi członkowie którejś z zebrzących sekt usiłowali się wprawić w zbiorowy trans, dopomógłszy sobie odpowiednią ilością wódki tudzież opium. Przy wtórze grzechotek i brząkadeł skandowali obrzędową pieśń. Co bardziej oszołomieni rzucali z siebie odzienie i kładli się nago na brudnej posadzce, jakby sądzili, że to miękka trawa.

Przywódca grupy siedział w pewnej odległości i patrzył na to wszystko z uśmiechem. On także był odurzony, o żrenicach jak główki od szpilek, i nagi pod luźną czerwoną szatą. Palił fajkę wodną, której rzeźbiony cybuch miał kształt makówki.

Nagle w zgiełk wmieszały się dźwięki fletu, układające się w żywą, taneczną melodię. Początkowo nikt nie zwracał na nie uwagi. Potem ktoś przez przypadek popatrzył w odpowiednim kierunku, zdębiał, szturchnął sąsiada... Jeden po drugim tancerze nieruchomieli, opuszczali instrumenty.

Nadchodził flecista; spowita cieniem, zakapturzona postać o fosforyzujących oczach. Przeszedł prosto przez ogień, a płomienie gasły, nie tykając go.

– Ale się naćpał – szepnął ktoś z podziwem.

Zakapturzony tymczasem przestał grać. Pstryknął palcami i ognisko zgasło; kryptę spowił mrok. Rozwścieczeni, że przerwał im obrzęd, sekciarze chcieli się rzucić na intruza, ale nie mogli uczynić kroku; nogi jakby wrosły im w ziemię. Jakaś dziewczyna zaczęła histerycznie wrzeszczeć, wkrótce dołączyli do niej inni.

Flecista przeszedł pomiędzy nimi i chwycił przywódcę za szatę z przodu.

– Ty robisz za mistrza tej bandy?

Mężczyzna bez tchu pokiwał głową.

– Więc słuchaj, co ci powiem! Nie ważcie się tu więcej przychodzić. Znajdźcie sobie jakieś inne miejsce zabaw. Trzeci poziom jest mój i ma być czysty. Nie lubię, jak mi się robactwo roi pod drzwiami. Zrozumiałeś?

– T-tak, p-panie – wykrztusił przywódca.

Puściwszy go, flecista klasnął w ręce. Czar paralizujący prysł. Echo zwielokrotniło tupot uciekających.

* * *

Liliowy zmierzch osnuł pustoszejące ulice. Mavraike, wnuczka Veljanova, spieszyła się do domu. Żeby zaoszczędzić czas, po skończonym przedstawieniu nie przebierała się, narzuciła tylko na trykot i pończochy długi płaszcz. Na dworze było ciepło, dopiero Podziemia przywitały ją znajomym chłodem. Oświetlone łuczycami i lampami korytarze na pierwszym poziomie o tej porze roiły się od różnych dziwacznych indywiduów, w większości podwładnych żebraczego króla. Nie bała się ich. Była tutejsza, jej dziadka wszyscy znali. Od czasu do czasu jakiś obdarty, złowrogo wyglądający typ pozdrawiał ją przyjaźnie.

Nagle tunel wypełnił się łomotem kroków i szczękiem rynsztunku. Nadchodziła duża grupa Jednookich pod przywództwem żołnierza w biało-srebrnym mundurze. Ludzie pierchali przed nimi w boczne odnogi lub rozpląszczali się przy ścianach. Mavraike uskoczyła w otwarte drzwi jakiegoś magazynu – po to tylko, żeby wpaść na stróża, który czuwał tuż przy wejściu. Ten, niewiele myśląc, złapał ją za kark jak kota i wypchnął z powrotem do tunelu, prosto pod nogi golemów. Wrzasnęła, pewna, że bezduszne automaty zaraz ją rozdepczą. Na szczęście ktoś w ostatniej chwili złapał ją za ubranie i odciągnął w tył. Mavraike, jeszcze cała roztrzęsiona, odwróciła się, żeby podziękować wybawcy... i wrzasnęła ponownie, widząc podobny do trupiej czaszki pysk. Nieznajomy odmieniec wyszczerzył kły jeszcze szerzej, po czym ruszył w głąb bocznego korytarza, wlokąc ją za sobą. Usiłowała się wyrwać, ale bez skutku. W końcu przy którymś szarpnięciu jej płaszcz rozdarł się z trzaskiem. W ręku niedoszęłego porywacza został kaptur; dziewczyna rzuciła się do ucieczki, wdzięczna bogom, że ma na sobie trykot, a nie krępującą ruchy suknię.

Skręciła w pierwsze lepsze odgałęzienie, zbiegła pędem po jakichś schodach, potem po następnych i następnych, przez cały czas mając wrażenie, że pogoń jest tuż-tuż. Zatrzymała się, zdyszana, dopiero wówczas, gdy naokoło zrobiło się całkiem ciemno. Chwilę nasłuchiwała bez tchu, ale wyglądało na to, że nikt jej nie ściga. Z drżeniem zdała sobie sprawę, że nie wie dokładnie, gdzie jest. Wychowała się w Podziemiach, ale tak naprawdę dobrze знаła tylko dwa pierwsze poziomy; dziadek nie pozwalał jej schodzić niżej samej, a że w złości miał ciężką rękę, rzadko łamała zakaz.

Po omacku ruszyła przed siebie wzdłuż muru, mając nadzieję, że nieoświetlony odcinek szybko się skończy. W jej nozdrza uderzył smród nieczystości; gdzieś blisko płynęły ścieki. Posadzka stawała się coraz bardziej nierówna i śliska. Mavraike już się zastanawiała, czy nie zawrócić, kiedy w mroku pojawiło się ponure fioletowe światło. Na rozwidleniu korytarza jarzyły się trzy szklane kule wypełnione fosforyzującą substancją. Przystanęła przy nich, zastanawiając się, którą drogę wybrać. Jeden z tuneli, najwęższy, prowadził w dół, dwa pozostałe – do góry, ale z obydwu wiało zgnilizną jak z dołu kloacznego.

Zesztywniała, słysząc kroki. Z ciemności wyłonił się człowiek w opończy z kapturem. Wstrzymała

oddech, ale przeszedł obok, posławszy jej jedynie zdziwione spojrzenie. Zniknął w tym korytarzu, który prowadził w dół. Ona zdecydowała się jednak ruszyć w górę; chciała jak najprędzej wrócić na pierwszy poziom. Krzywiąc się z obrzydzenia, minęła stertę gnijących śmieci i głośno zakląła, bo korytarz rozwidlił się znowu. Wybrała to odgałęzienie, w którym paliło się samotne światełko. W niszy, przed posążkiem bóstwa stała oliwna lampka, obok leżały przywiedłe bukieciki. Mavraike zdusiła kolejne przekleństwo, ujrawszy, że kawałek dalej przejście zagradzają zwały gruzu. Niewiele myśląc, przywłaszczyła sobie lampkę, zawróciła i ruszyła nieoświetloną odnogą.

Tu także piętrzył się gruz. Z rozległego wyłomu w ścianie wiało zimnem. Wyglądało na to, że z niewiadomych powodów najpierw zamurowano wejście do wielkiej krypty, a potem na powrót rozkuto cegły. Mavraike zawahała się; strach walczył w niej o lepsze z ciekawością. Ostatecznie ciekawość zwyciężyła. Dziewczyna ostrożnie zbliżyła się do wyłomu. W mroku majaczyły nieregularne kształty, jakby rzeźby. Postąpiła o krok do przodu, uniosła lampkę, osłaniając płomyk dłonią. Tak, kryptę wypełniały posągi ludzi i zwierząt; w większości zwalone, porozbijane. Nie wyglądało to na efekt działania czasu, raczej na dzieło ogarniętego fanatyzmem tłumu.

Zniechęcona, już miała odejść, gdy usłyszała szelest. Rozejrzała się odruchowo i zamarła, widząc zupełnie blisko bliźniacze ogniki ślepi. Coś czaiło się pomiędzy rzeźbami. Nie szczur, coś większego. Z przestachem uświadomiła sobie, że – wbrew pouczeniom dziadka – nie ma przy sobie nawet kija.

Stworzenie powoli wysunęło się spod obalonej kolumny, prezentując w całej okazałości bezwłose ciało, wydające się składać z samych ścięgien i kości. Rozchyliło pysk, jakby chwając się podwójnym rzędem ostrych kłów. Zdziczały homunkulus – postrach pijaczków i dzieci. Z jego gardzieli dobyło się złowrogie warczenie.

Może nie zaatakuję, jeśli go nie sprowokuję... Uczepiwszy się tej myśli jak liny, Mavraike zaczęła się wolniutko wycofywać. Stwór podążał za nią krok w krok.

Ledwie znalazła się z powrotem w korytarzu, zza zwałów gruzu wyłoniły się inne. Były niepospolicie duże i silne, a ich ślepia jarzyły się pragnieniem świeżej krwi.

Zrozumiała, że jest w pułapce. Cofała się, póki nie dotknęła plecami ściany. Warczący krąg homunkulusów powoli się zacieśniał.

Kątem oka dostrzegła, że zza zakrętu wyłania się postać, niemożliwa do rozpoznania z tej odległości. Przez głowę przebiegła jej szalona myśl, że to dziadek ją tu odnalazł.

– Nie ruszaj się! – Obcy, ochryply głos rozwiął złudzenie. Homunkulusy zwróciły się ku przybyszowi; warczenie przybrało na sile. Było jasne, że lada moment się na niego rzucą.

Mężczyzna tylko skinął ręką i na stwory spadł znikąd deszcz płomieni. Rozpętało się piekło skamlenia i wycia. Te, które znajdowały się dalej, pierzchły, wlokąc za sobą swąd przypalanej skóry. Trzy czy cztery, które nie zdążyły uciec, wiły się na ziemi, skowycząc przeraźliwie; ogień pożerał ich ciała.

Okropne skwierczenie i smród spalenizny podziały jak kopniak w brzuch. Mavraike zgięła się w pół, pewna, że zaraz zwymiotuje.

Mężczyzna paroma długimi krokami pokonał dzielącą ich odległość, chwycił ją za ramię, zmusił do przejścia pomiędzy dogasającymi trupami.

Teraz go poznała. Ten zakapturzony.

Wyprowadził ją, czy raczej wywłócił z zadymionego korytarza. Zatrzymali się dopiero na rozwidleniu koło świecących kul. Mavraike otworzyła usta, żeby podziękować za ratunek, ale głos uwiązł w jej gardle, kiedy zobaczyła, że w cieniu kaptura błyszczą żółte źrenice.

– Nie bój się. – Spostrzegłszy jej strach, nieznajomy zsunął kaptur. Z ulgą zobaczyła, że to człowiek, nie odmieniec. – Już po wszystkim. Gdzie cię diabli ponieśli, dziewczyno? Nie ostrzegano cię, żeby nie łązić do tamtego tunelu?

– Nie jestem z tego poziomu. – Mavraike zaczerwieniła się pod jego badawczym wzrokiem. – Zabłądziłam...

Spodziewała się, że będzie musiała wysłuchać paru morałów na temat chodzenia samotnie, ale nieznajomy zamiast ją pouczać, wyjął z rękawa chustkę.

– Wytrzymaj sobie buzię, masz sadzę na policzku. Jak się nazywasz?

– M-mavraike... Wnuczka Veljanova. Szczurołapa.

– No proszę, co za zbieg okoliczności. – Uniósł brwi. – Swego czasu nieźle znałem twojego dziadka.

Powiedz mi, gdzie mieszkasz?

– Na pierwszym poziomie... niedaleko zejścia przy Rybiej Bramie...

– Chodź. Odprowadzę cię. – Chciał wziąć ją za rękę, ale tym razem wyrwała się.

Teraz, kiedy minęło przerażenie, znowu była w stanie logicznie myśleć. Zakłęcie. Oczy. Srebrni magowie nie miewali pionowych źrenic, więc musiał być żmijem. A to oznaczało, że jest bardziej niebezpieczny, niż wszystkie homunkulusy Podziemi razem wzięte.

– Chodź – powtórzył stanowczo. – Lada chwila zjawią się tu golemi.

Przez całą drogę zerkąła na niego nieufnie. Pomijając źrenice, nie wyglądał szczególnie przerażająco. Ciemnowłosa, szczupły, ubrany – jak na Podziemia – porządnie. Opończa wyszarzała, ale bez łąt, mocne buty, skórzane rękawiczki. Blizny na policzku, jakby od noża; gdyby nie to, nie wyróżniałby się z tłumu.

Odprowadził ją aż do samych drzwi. Pożegnał skinieniem głowy.

W progu obejrzała się raz jeszcze, ale już go nie było – roztopił się w mroku jak duch.

4. Reinkarnacja

– Przygotowałeś wszystko, widzę... Kiedy możemy zacząć ?

– Kiedy chcesz. Choćby zaraz.

– To dobrze.

Krzyczący w Ciemności uważnie popatrzył na przyjaciela.

– Wybacz, ale muszę cię o to zapytać... Jesteś zdecydowany? Żadnych wątpliwości?

Poeta nie odwrócił wzroku.

– Tak.

– Jesteś absolutnie pewien? Pamiętaj, zakłęcie jest nieodwracalne. Może powinieneś jeszcze raz przemyśleć decyzję?

Ambers zakaszlał znowu. Wygrzebał z kieszeni zmiętą chustkę, starannie wytarł nią usta.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. To kancer, nie gruźlica. Konował daje mi jeszcze ze cztery miesiące życia. Pół roku, jeśli będę się oszczędzał. Ale co to za życie... Przemyślałem wszystko – dorzucił, ścisząc głos. – Będą myśleli, że umarłem we śnie. O ile ktoś w ogóle zauważy, że mnie nie ma...

– Może Imella zauważy.

– Imella? Nie rozśmieszaj mnie. Wyjechała stąd całe lata temu. Nigdy się nie odezwała, nie przysłała nawet jednego listu. Nie pamięta. Po prostu.

– Należało ją odszukać, Vincent. Powiedzieć jej, co chcesz zrobić.

– Powiedzieć jej? Po co?

– Nie sądzisz, że powinna znać prawdę?

W szarych oczach Ambersa coś błysnęło. Jak stal.

– Dlaczego? Znalazła sobie kogoś innego. Jest szczęśliwa. Tyle wiem. Po co ma sobie przypominać swoją wielką pomyłkę z czasów młodości?

Krzyczący w zadumie wpatrywał się w migoczący czerwienią żar.

– Czasem jedna krótka rozmowa może wiele zmienić – rzucił, nie podnosząc głowy. – Ale wszystkie decyzje podejmujesz ty, nie ja.

– Mam tego świadomość. – Poeta westchnął. – Mówiłem już, długo nad tym wszystkim rozmyślałem. Dłużej niż przypuszczasz. Pomysł przyszedł mi do głowy dokładnie rok temu. W dniu, gdy powiedziano mi, na co tak naprawdę jestem chory. Zabawne... Mimo wszystko można powiedzieć, że mam szczęście, prawda? Mój dawny znajomy jest magiem... może ofiarować mi to drugie życie...

Przerwał. Zakaszał. I zmienił temat.

– Sporządziłem testament, choć nie bardzo jest czym rozporządzać... Mam dalekich krewnych w Tay. Mieszczanie, drobni kupcy. Ledwie ich znam. Pisałem do nich kilka tygodni temu... Wiedzą, w jakim jestem stanie.

– Mam nadzieję, że nie napisałeś im, co planujesz? – Żmij gwałtownie odstawił kubek.

– Nie, tego nie. Tylko tyle, że nie zostało mi wiele czasu. I że zostawiam im wszystko. Niewiele tego... Ale przynajmniej bez długów. A skoro już jesteśmy przy pieniądzach – twoje honorarium.

– Nie. Nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy. Niech to szlag, Vincent, nawet ja mam pewne zasady.

– Wiedziałem, że to powiesz. Cóż, skoro tak... Przygotowałem dla ciebie coś jeszcze.

Ambers pochylił się nad kufrem. Zaszleściły przekładane papiery i pergaminy.

– Trudno tu cokolwiek znaleźć. Tyle szpargałów – rzucił przez ramię. – Większość to moje stare dzieła. Niektóre z nich znasz. „Sen o mieście motyli”, „Czarni bogowie”, „Wyspa szkarłatnego cudu”... Mało kto o nich pamięta. Tu jeszcze parę innych manuskryptów, głównie poezja. Alvin z Tay, Flavius Fenshi... Niemal zapomniani, tak jak ja. Oho! Mam, czego szukałem.

Położył na biurku gruby plik kartek, gęsto zapisanych linijkami drobnego pisma.

– Co to?

Ambers uśmiechnął się smętnie.

– Moje ostatnie dzieło. Niedokończone...

– Jaki ma tytuł?

Poeta roześmiał się. Śmiech szybko przeszedł w atak kaszlu. Ambers, krzywiąc się, przycisnął chustkę do ust, z wysiłkiem zaczerpnął powietrza.

– Tytuł? Nie ma żadnego tytułu. Nic jakoś nie przychodziło mi do głowy. Może ty wymyślisz coś odpowiedniego?

– Może.

Milczeli przez chwilę.

– Cieszę się, że mam tę możliwość, wiesz? – mruknął wreszcie Ambers. – Żeby jeszcze przez jakiś czas zostać tu, między żywymi... nawet jeśli nie jako człowiek... Wiesz, zawsze myślałem, że żyć tak, jak żyją zwierzęta, to gorzej, niż nie żyć w ogóle... Ale teraz zależy mi tylko na życiu, dasz wiarę? Może dlatego, że... aż do tej pory marnowałem czas. Nudziłem się... Ciągle czekałem na zmianę, na coś, co pozwoliłoby mi inaczej spojrzeć na świat, zaakceptować go takim, jakim jest. Ale za każdym razem, gdy coś się zmieniało, była to zmiana na gorsze.

Zakaszał, dotknął chustką warg. Żmij milczał.

– Wiesz, z punktu widzenia zwykłych ludzi wy, magowie, jesteście w lepszej sytuacji. Żyjecie długo, nie musicie się martwić, że wasz czas szybko zmierza ku końcowi. A ja miałem tak niewiele czasu... I wszystko to przeciekło mi między palcami. Tyle niedokończonych wierszy... tyle zmarnowanych dni... – Głos załamał mu się nagle. Ambers ukrył twarz w dłoniach.

– Vincent, nie wygłupiaj się. – Żmij lekko dotknął jego ramienia. – Czeka na ciebie zupełnie nowe życie. Poznasz świat, o jakim reszcie ludzi nawet się nie śniło. Zaufaj mi.

Poeta wziął głęboki oddech.

– Masz rację. Wybacz, Brune. Robię z siebie durnia. – Otarł oczy. – Zaczynajmy – poprosił cicho.

– Dobrze.

W głowie wspinającej się po schodach Nethry aż huczało od niespokojnych myśli.

Lokator z poddasza od lat nie miewał gości. Nie odwiedzała go nawet żona. Starej gospodyni było go po trosze żal. Słyszała, że w swoim czasie był zamożnym obywatelem, protegowanym samego Najdostojniejszego... A teraz gasł w samotności, zapomniany przez wszystkich.

Wiedziała, jak ciężko jest chory. Od dobrych kilku miesięcy kaszlał krwią, chudł i słabł. Oswoiła się z myślą, że zostało mu niewiele czasu.

I nagle ni z tego, ni z owego pojawił się ten zagadkowy typ, wyglądający, jakby dopiero co wrócił z podróży. Jego pierwsza wizyta nie trwała długo, lecz nazajutrz przyszedł znowu, zaraz po zachodzie słońca... A teraz zbliżała się północ. O czym rozmawiali tak długo, on i Vincent Ambers? O czym mogli rozmawiać?

Nethra nie wiedziała, ale była tego niezmiernie ciekawa.

U szczytu schodów zatrzymała się na chwilę, czekając, aż przyspieszony oddech nieco się uspokoi. Potem na palcach zaczęła się skradać w stronę izdebki Ambersa.

Na strychu panowała absolutna cisza. Nie było słyhać nawet wiatru, poświstującego zwykle w szczelinach dachu. Nic.

Nethra nagle poczuła się nieswojo.

Za zamkniętych drzwi nie dochodził żaden dźwięk, lecz przez dziurkę od klucza sączyło się czerwone światło.

Nethra zawahała się. Jednak raz rozbudzona ciekawość za nic nie dawała się stłumić.

Zajrzy tylko raz, byle dowiedzieć się, co dzieje się za drzwiami... Tylko raz...

Spojrzała. I zatkała ręką usta, żeby nie krzyknąć.

Podłogę izdebki pokrywała mozaika dziwacznych symboli, starannie wyrysowanych kilkoma kolorami kredy. Na biurku płonęły trzy czarne świece.

Ambers leżał na wznak na swoim posłaniu. Oczy miał zamknięte, ręce wyciągnięte wzdłuż ciała. Jego rysy stężały w grymasie ni to przerażenia, ni wyczekiwania... Nethra uświadomiła sobie, że jego pierś nie porusza się.

Nieznajomy klęczał przed otwartymi drzwiczkami piecyka, tak że czerwony poblask padał na jego twarz. Zeszecona trzema szramami, w pełgającym świetle wydawała się obliczem upiora; wrażenie to potęgowały fosforyzujące oczy. Szeptał coś, głaszcząc trzymany w dłoni kłębek futra, w którym Nethra rozpoznała truchło jakiegoś małego zwierzęcia.

Serce podjechało jej do gardła. Zakazana Sztuka... Mroczne, wyklęte gusła... W jej domu... Bogowie, w jej domu...

Instykt podpowiadał, by uciekać, teraz, natychmiast. Ale ciekawość była silniejsza od strachu.

Mamrocząc słowa modlitwy, staruszka ponownie pochyliła się nad dziurką od klucza.

Nieznajomy dokończył inkantację, wstał, odwrócił się powoli. Na ułamek chwili spojrzenia jego oraz Nethry skrzyżowały się i staruszka omal nie zemdląła, pewna, że została odkryta – och, oczywiście, zwykły człowiek nie byłby w stanie przebić wzrokiem grubych dębowych drzwi, ale mag...

Nie zauważył jej. Nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, by wiedział, że jest obserwowany. Staruszka odetchnęła. Przyciśnięte dłonią serce łomotało jak szalone.

Mimo to nie odeszła od drzwi. Patrzyła.

Nieznajomy ostrożnie złożył martwe zwierzę na piersi Ambersa. Ten nie poruszył się.

Zamordowany w twoim domu, pod twoim dachem... Dlaczego nie uciekasz, głupia kobieto?

Ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Nie była w stanie drgnąć.

Nieznajomy wyjął z zanadru flet i zaczął grać dziwną, tęskną melodię. Nieruchome ciało Ambersa stopniowo otoczyła niebieskawa aureola.

I Ambers zaczął się zmieniać.

Nethra z krzykiem odskoczyła od drzwi, zakrywając ręką oczy. Za późno. To, co zdążyła zobaczyć,

prześladowało ją później przez wiele bezsennych nocy.

* * *

Mniej więcej w tej samej chwili w innym mieście i kraju inna, dużo młodsza od Nethry kobieta poderwała się gwałtownie, zrzucając atlasową kołdrę. Mężczyzna śpiący obok drgnął, przekręcił się na drugi bok, otworzył oczy.

– Co się stało? – spytał niespokojnie.

Kobieta nerwowo przecesała palcami bujne, rude włosy. Jej oddech i puls stopniowo wracały do normalnego rytmu.

– Nic takiego, kochanie – odszepnęła z wymuszonym uśmiechem. – Coś mi się przyśniło... Po prostu głupi sen, nic więcej.

Zmarszczył brwi, nadal zaniepokojony.

– Co za sen, Imello?

– Nic takiego – powtórzyła cicho. – Zapomnij o tym. Obejmij mnie.

* * *

Czerń. Węgłe zgasły.

Zmęczenie spływające ciężką falą.

Krzyczący w Ciemności podniósł wzrok. Wiedział, co zobaczy.

Ciało Vincenta Ambers, nieruchome i sztywne. Szkliste oczy wpatrzone w sufit.

Błyszczące ślepia skulonego w głębi klatki nietoperza, leciutkie drżenie zwiniętych błon jego skrzydeł.

Czar dopełnił się.

* * *

Dom przy ulicy Miedzianej od lat stał opuszczony. Jego dawni właściciele – zamożna kupiecka rodzina – wymarli podczas zarazy. Od tamtej pory nikt nie kwapił się tam zamieszkać. Tylko włóczędzy sporadycznie nocowali w ogrodzie. Po cichu szeptano, że dom jest przeklęty. Bano się go wyburzyć, by nie rozgniewać umarłych. Stał więc i niszczał pomału, z każdym rokiem brzydszy i bardziej owiany legendą.

Klnąc półgłosem, zmij przedarł się przez chaszczę, którymi zarosło podwórze. Drzwi nie były zamknięte, ustąpiły pod naporem ręki.

Wewnątrz śmierdziało stęchlizną. Smuga księżycowego światła wpadająca przez wybite okno rysowała długie cienie w poprzek zaśmieconej podłogi.

Postawił klatkę i otworzył drzwiczki. Nietoperz natychmiast wskoczył na podstawioną dłoń. Żmij wyprostował się, uniósł rękę. Zwierzę oderwało się od niej i poszybowało w mrok. Tam, gdzie – jak podpowiadał instynkt – gnieździł się jego nowi pobratymcy.

Nie były to, ma się rozumieć, zwykłe nietoperze. Nawet tu, w dużym mieście, tuż obok ludzi żyły stworzenia ze sfer, mogące przekraczać granice wymiarów. Chochliki, dusiołki, czasem jedna czy druga z mora. I *nycti*, nietoperze mówiące ludzkim głosem, o których mędrzec Korihen napisał w swym traktacie, że dożywają stu lat.

– Powodzenia w nowym życiu, Vincent – szepnął z uśmiechem Krzyczący.

5. Tancerka

Szczurołap i jego wnuczka mieszkali blisko powierzchni. Gdyby nie brak okien i wiecznie zagrzebione

ściany, ich lokum można byłoby nazwać przytulnym. Mieli piec, meble i naczynia, a dostępu do tego wszystkiego broniły okute drzwi.

Veljanov sypiał na sienniku położonym wprost na posadzce, ale Mavraike była szczęśliwą posiadaczką łóżka, ustawionego w kącie za starą skórzaną zasłoną. Dziadek wyszukał je przed laty na śmietniku, pieczołowicie naprawił i odmalował. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze lubiła sobie wyobrażać przed zaśnięciem, że po drugiej stronie zasłony wcale nie ma zagraconej, brzydkiej izby z koślawym stołem i stosami śmierdzących pułapek, tylko jest na przykład wielka pałacowa kuchnia, pełna błyszczących rondli i smakowitych zapachów. Albo jaskinia przemytników. Albo pracownia czarodzieja.

Teraz leżała pod kołdrą, czekając, aż dziadek wróci i dla zabicia czasu wyobrażała sobie, że jest małym odmieńcem, od stóp do głów porośniętym sierścią. Nie musi nosić ubrań, widzi w ciemnościach jak kot, ma ostre pazury i kły. Może się bez obawy zapuszczać nawet na najniższe poziomy Podziemi...

Nie wiedzieć kiedy usnęła. I przyśniło jej się, że naprawdę zabłąkała się w głąb niezamieszkałej części lochów. Nie była odmieńcem, lecz sobą, czarnowłosą Mavraike. Szła wilgotnym, zawalonym gruzami korytarzem, ubrana w swoją najlepszą spódnicę i wyszywany cekinami kaftanik. Przed nią i za nią po posadzce biegły szczury, całe mrowie szczurów. Wszystkie podążały w tym samym kierunku co ona.

Z mroku dobiegała muzyka; to melancholijna i tęskna, to znów wesoła, prawie zalotna. Delikatne tony wabiły, ośmielały, zachęcały... I Mavraike, tak jak szczury, posłusznie szła śladem melodii. Nie mogła się oprzeć wezwaniu. Czuła lęk, ale i tajemniczą radość, jakby spełniało się coś, czego od dawna pragnęła.

Nagle ujrzała przed sobą kryptę wypełnioną łagodnym światłem. To był sen, a we śnie wszystko jest możliwe. Więc Mavraike nie zdziwiła się ani trochę, widząc pod sklepieniem usidlony w srebrnej sieci księżyc, wokół którego pełzały tęczowe iskierki. Pod ścianami stały posągi ludzi i zwierząt; te same, które widziała w miejscu, gdzie gnieździły się homunkulusy, lecz całe, nietknięte.

Pośrodku krypty stał flecista w czarnym odzieniu i białej, niesamowitej masce. Grał, a szczury tańczyły.

I ona też zaczęła tańczyć, posłuszna muzyce...

Sen urwał się. Dziewczyna otworzyła oczy... lecz melodia nie chciała umilknąć. Ktoś naprawdę przyszedł i grał na flecie.

Szarpnęła zasłonę tak, że o mało jej nie zdarła.

Ogień w piecu płonął jasno, jakby tylko co dołożono doń drew. Trzy oswojone białe szczury, które Veljanov troskliwie hodował – nazywał je swoimi maskotkami, utrzymując z poważną miną, że mu przynoszą szczęście w łowach – zamiast jak zwykle harcować po klatce, stały bez ruchu z nosami wysuniętymi przez pręty. Przy stole siedział człowiek z bliznami na policzku. Gdy ją ujrzał, opuścił flet.

– Jak tu wszedłeś?! – wykrzyknęła, zbyt zaskoczona, żeby się przejmować grzecznością.

– Drzwi były otwarte. Nie zasunęłaś do końca zasuwy – wyjaśnił spokojnie. – Powinnaś bardziej uważać. Skoro ja wszedłem, mógłby też wejść ktoś inny.

Poczuła, że się rumieni. Jak mogła być aż tak nieostrożna? Oj, dziadek natarłby jej uszu, gdyby się dowiedział...

Chociaż zapadła cisza, szczury nadal tkwiły przy prętach klatki jak zahipnotyzowane, tylko pyszczki im drgały.

– Zaczarowałaś je?... – Dziewczyna wpatrzyła się w przybysza z nabożnym lękiem.

Wydawał się rozbawiony.

– Gdzie tam. One po prostu lubią muzykę. – Wyciągnął rękę, żeby pogłodzić najbliższego szczura po nosie. Zwierzak jakby się ocknął; z umiarkowanym zainteresowaniem obwąchał jego palce. – Nie wiesz, Mavraike, kiedy wróci twój dziadek? Mam do niego parę spraw.

– Powinien już być, pewnie coś go zatrzymało. – Poczuła ukłucie niepokoju, uświadomiwszy sobie, że

jest bardzo późno. Cóż, może stary wstąpił na jednego do szynku i zasiedział się, jak to mu się czasem zdarzało. Miała nadzieję, że wróci trzeźwy.

– Mogę tu na niego poczekać? Nie pogniewasz się?

Spojrzała podejrzliwie, niepewna, czy on pyta poważnie, czy też stroi sobie kpiny. Pytanie zostało najwyraźniej zadane gwoździem, bo Żmij, nie czekając na odpowiedź, zaczął znowu grać. Mavraike nie wiedziała, co ma zrobić – położyć się z powrotem czy usiąść razem z nim przy stole. Zdecydowała się na to drugie. Przycupnęła na ławie koło klatki ze szczurami, owinąwszy się kołdrą, bo po pierwsze była w samej koszuli i wstydziła się, a po drugie od posadzki i murów ciągnęło chłodem, którego nawet buzujący w piecu ogień nie mógł przegonić.

Przymknęła oczy. Dźwięki rozsnuwały się w ciszy jak złotawa pajęczyna.

* * *

Utwór skończył się. Żmij schował instrument do futerału, po czym oparł głowę na rękach; jego wzrok błędził gdzieś daleko. Mavraike tymczasem przyglądała mu się spod oka.

Intrygował ją. Zarazem budził lęk i ciekawił. Mniejsza o bliźny, znała ludzi z gorszymi, ale instynktownie wyczuwała w nim coś mrocznego, odpychającego.

A zarazem... fascynującego. Na tej zasadzie, na jakiej fascynujące jest wszystko, co niebezpieczne, obce. Zakazane.

Milczenie przedłużało się. Postanowiła je przerwać.

– Brune?...

Drgnął.

– Skąd wiesz, jak...

– Dziadek mi powiedział. Wystarczyło, że cię opisałam, a od razu odgadł, o kogo chodzi.

– Opowiedziałas mi o przygodzie z homunkulusami?

– Tak. – Spojrzała lękliwie. – Źle zrobiłam?...

– Nie, dlaczego. – Powiedział to roztargnionym tonem, wyraźnie myśląc o czym innym.

– Mogę cię o coś spytać?

– Pytaj. – Otrząsnął się, wracając do rzeczywistości.

– Czemu masz takie dziwne przezwisko?

Uśmiechnął się.

– Przez odmieńców. Uznali, że do mnie pasuje. Przyłgnęło i zostało.

– Brune Keare to twoje prawdziwe imię?

– Nie bardziej prawdziwe niż tamto.

Nie wiedziała, co na to odrzec, więc nie rzekła nic. Żmij powrócił do kontemplowania ścian. Ogień przygasł, w izbie było ciemnowo, a mimo to jego źrenice przypominały kreseczki. Uświadomiła sobie, że zna skądś ten słodkawy zapach, którym zalatywało jego ubranie. Opium. Zaskoczyło ją to, nie sądziła, że magowie się narkotyzują. Sądząc po oczach musiał przyjąć całkiem sporą dawkę, ale z głosu nigdy by nie poznała, że jest odurzony.

Zatopiony w myślach, w ogóle nie zauważył, że dziewczyna mu się przygląda.

Mavraike patrzyła, skubiąc bezwiednie koniec warkocza.

Zawsze wyobrażała sobie, że *ka-ira* są jeszcze ohydniejsi od odmieńców. Że mają szerniałe, pomarszczone oblicza i pokryte łuskami ciała, cuchnące piekielną siarką. Krzyczący w Ciemności stanowił dokładne zaprzeczenie tych wyobrażeń. Nie był ohydny. Ani trochę. Miał śniadą cerę, parodniowy zarost i włosy wyglądające tak, jakby dawno nie widziały grzebienia. I zgrabne dłonie o długich palcach. I ładną kurtkę; kołnierz oraz mankiety ozdobił haft, wykonany czarną nicią na czarnym materiale.

Podobasz mi się, Brune. Skonstatowała to nie bez zaskoczenia.

Prawie podskoczyła, kiedy ni z tego, ni z owego przemówił.

– Spędzasz dużo czasu na powierzchni, prawda? Pracujesz tam?

– Tańczę w teatrze.

– Tak podejrzewałem. Nie mówisz gwarą, a kiedy cię ostatnio widziałem, byłaś umalowana. Jak tam trafiłaś?

– Akurat potrzebowali dziewcząt, które umieją tańczyć, a ja umiałam. Wcześniej uczyła mnie pani Rosalia, może o niej słyszałeś. Była kiedyś sławną tancerką, ale zachorowała na ospę i straciła urodę. Teraz mieszka w Podziemiach. Napisała mi list polecający... Twierdziła, że na górze wciąż są tacy, którzy o niej pamiętają. Chyba miała rację, bo udało się, przyjęli mnie. To było rok temu. – Mavraike nagle przestraszyła się, że paple jak najęta. Tak się zawstydziała, że umilkła z miejsca, wbijając wzrok w posadzkę.

Teraz to ona nie wiedziała, że Krzyczący przestał się wpatrywać w ścianę, a zamiast tego patrzy na nią.

Ładna dziewczynka, myślał żmij, oceniając profil, szyję, zarys ust. Naprawdę ładna. Co ją czeka za parę lat? Ktoś już odkrył jej talent, dał szansę. No, powiedzmy, że szansę. Jeśli będzie miała naprawdę duże szczęście, zostanie – jak jej nauczycielka – znaną tancerką i kurtyzaną. Jeśli trochę mniejsze, tylko kurtyzaną.

Zadumał się. Pamiętał ją jako maleństwo owinięte w łachmany, popłakujące w rogu izby, w której umierała jej matka. Dawne dzieje... Nie znał kulis tej historii. Nie wiedział, czemu dziewczyna, którą pomógł wyleczyć z ospy, miesiąc później wypła truciznę... Cud, że mała wyżyła bez matczynej opieki.

Aż trudno uwierzyć, że wychowała się tutaj, w królestwie szcurów i śmieci. Miała urodę szlachcianki; delikatniutka, biała jak porcelana mimo czarnych włosów. Będzie kiedyś piękniejsza niż Rosalia o Różanych Ustach, czy jak tam nazywano tę wyniosłą lafiryndę, którą mgliście pamiętał z paru przedstawień. O ile wcześniej jej nie zepsują, nie zeszmacą. Wiedział, jak bezlitosne jest miasto dla ubogich dziewcząt. Zbyt wiele już widział jej podobnych w rynsztoku...

Uniosła głowę i zadrżała, napotykać jego spojrzenie. Uznał, że pewnie przestraszyła się żrenic. W myślach przeklął swój dar. Nie po raz pierwszy.

Mavraike tymczasem doszła do wniosku, że czuje się nieswojo, kiedy on tak siedzi, milcząc, niczym czarna zjawa. Spróbowała znowu nawiązać rozmowę.

– Brune?...

– Tak?

– Dziadek mi mówił, że mieszkałeś tu kiedyś, a potem zniknąłeś i nikt nie wie, co się z tobą działo... On twierdzi, że wyruszyłeś w tajemnicy w podróż. To prawda?

– Owszem, podróżowałem. Bardzo daleko. Do krain jak z baśni. – Mrugnął; znowu nie była pewna, czy mówi prawdę, czy tylko ją nabiera. – Do miejsc, gdzie woda śpiewa, a księżyc świeci na zielono. Gdzie diamenty rosną na drzewach, a kwiaty mówią.

– Czemu przybyłeś z powrotem, skoro tam było tak cudownie?

– Musiałem. Wezwano mnie, więc wróciłem.

– Tak od razu?

– Potrafię podróżować między sferami. To lepsze niż siedmiomilowe buty.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Nie dziwię się. To rzadko spotykana umiejętność. – Powiedział to bez śladu chępliwości; ot, stwierdzając fakt. Potem jakby coś w nim zgąsło; znów zapatrzył się w przestrzeń.

Mavraike bardzo chciała spytać go jeszcze o jedną rzecz, ale obawiała się, jak to zostanie przyjęte. Wahała się długo, w końcu jednak pomyślała, że przecież dotąd był taki miły. I właściwie czemu miałby się gniewać.

Pał sześc ostrożność. Może już nigdy nie będzie miała okazji z nim rozmawiać.

– Kim byłeś... wcześniej? Zanim stałeś się zmijem?

– Czemu pytasz? – Drgnął zaskoczony. Dziewczyna spłoszyła się.

– Tak sobie... Wybacz, jeśli to tajemnica.

– Nie, to nie żadna tajemnica. Nie mam pojęcia. Domyślam się, że muzykiem.

– Jak to? To znaczy, jak to możliwe, że nie wiesz?

– Zwyczajnie. Zapomniałem prawie wszystko z poprzedniego życia. Zezmijenie zabrało wspomnienia.

– Prawie wszystko? To znaczy, że coś pamiętasz?

– Tak i nie. Jakieś strzępy, niewyraźne fragmenty... – Krzyżący w Ciemności przymknął oczy, jakby próbował sięgnąć pamięcią wstecz, odszukać zniszczone obrazy. – Zdaje się, że kazano mi wybierać... Srebro albo czerń. To pioruńsko dziwna historia, bo przecież na ogół nie ma się wyboru. Srebrny dar jest wrodzony, a czarny budzi się niezależnie od ludzkiej woli. Ale ze mną było inaczej.

– Kto kazał ci wybierać?

– Nie wiem. Pamiętam to jak przez mgłę... Sylwetki z płonącymi oczami. Roześmiali się, słysząc moją odpowiedź... A może to był tylko sen – zakończył z westchnieniem.

– Co by było, gdybyś wybrał srebro?

– Skąd, do diabła, mogę wiedzieć? Nie miałbym pionowych źrenic. Ubierałbym się na białe. Nosiłbym we dnie i w nocy symbiotyczną maskę dopóty, dopóki nie zrosłaby się z ciałem tak, żeby nie można było już jej zdjąć, bo czarodziej Elity nie może mieć żadnej fizycznej skazy. Nazywałbym się Keare ar... Keare ar zaraza wie skąd, bo nie znam swojego miejsca urodzenia. Zaiste, jest czego żałować. – Nieoczekiwanie uśmiechnął się krzywo, ale zaraz spoważniał. Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, tylko zastanawia się nad doborem słów.

– Skażony dar oznacza cholerną samotność, Mavraiike – szepnął w końcu. Milczała. Potarł czoło i westchnął znowu. – Czasem brakuje mi towarzystwa zwykłych ludzi, wiesz? Głosów, które zagłuszyłyby czarny zgiełk w głowie... Ale zwykli, szarzy ludzie boją się skazy, i słusznie. Jak głosi Święta Księga, noszę w sobie jad, muszę czynić zło, choćbym nie chciał. Moja moc rośnie, kiedy w pobliżu ktoś cierpi. Mogę nienawidzić siebie za to, współczuć tej osobie... to nie ma znaczenia. Cierpienie wzmacnia czerń. Od tego... można się uzależnić. Pokochać zadawanie bólu. Naprawdę stać się potworem... Srebrni wiedzą, że najlepsze, co można ofiarować takim jak ja, to godna śmierć. – Ostatnie słowa wyrzekł z sarkastycznym uśmieszkiem, ale głos mu drżał.

Mavraiike znowu nie umiała odpowiedzieć. Chciała pogłaskać jego rękę, ale w tym momencie szcęknęła zasuwa, a w sieni rozległo się znajome szczekanie Muchy. Odskoczyła jak oparzona.

Zaraz potem wszedł Veljanov, ubłocony od stóp do głów, z daleka śmierdzący ściekami. Nie zdziwił się ani trochę na widok zmija.

– Swój, Mucha! Nie rusz! – krzyknął; niepotrzebnie, bo ledwie pies zajrzał do izby, cofnął się, skomląc, jakby ujrzał za stołem co najmniej niedźwiedzia. Veljanov wrócił do sieni, żeby zostawić uwalane wierzchnie okrycie. Obmył ręce w wiadrze i dopiero wtedy przywitał się z gościem.

– Daruj, Brune, zem się spóźnił tyle. Klient mi się zbiesił – mruknął. – Sklepikarz jeden zafajdany. Com się nakłócił z nim! A potem przyszło bachora szukać, co polazł gdziesik i musi utknął w jakiej dziurze. Matka głupia nie dopilnowała, płacze tera. Szukalim, aleśmy nie znaleźli. I zda mi się, że już go nie najdą. Przepadł! Może go co zjadło.

– Może homunkulusy... – odezwała się nieśmiało Mavraiike.

Stary drgnął, jakby dopiero teraz ją zauważył.

– A ty tu jeszcze sterczysz, miast spać? Co ci do głowy strzeliło?! Toć północek dawno minął! Marsz do łóżka, pókim dobry! – Wykrzyknął to tak srogo, że dziewczyna umknęła za zasłonę jak spłoszona sarenka.

Veljanov wyciągnął ze schowka butelkę anyżówki i kieliszki. Żmij odmówił poczęstunku, więc stary nalał tylko sobie. Zimno Podziemi weszło mu głęboko w kości, potrzebował czegoś na rozgrzewkę.

Mavraike przezornie odczekała chwilę, po czym podkraśniała się do szpary w zasłonie, żeby posłuchać, o czym mówią. Czekając ją jednak zawód; rozmawiali tak cicho, że nie mogła rozróżnić słów. Marzyła jej stopy, więc wróciła do łóżka. Już prawie zasypiała, gdy zaszurały odsuwane stołki. Gość zbierał się do wyjścia. Mavraike znowu podbiegła do zasłony i ukradkiem odprowadziła go wzrokiem.

Później długo nie mogła zasnąć. Chrapanie Veljanova, które zazwyczaj działało na nią jak kołysanka, tym razem nie pomagało. Leżała z otwartymi oczami, rozmyślając o wszystkich pytaniach, jakie chętnie zadałaby ciemnowłosemu Żmijowi, a także o odpowiedziach, których lękałaby się wysłuchać.

* * *

Przysługa wyświadczona Ambersowi mocno nadwerżyła siły Żmija. Nawet bardziej niż powinna, ale to nie było takie znów dziwne; nie całkiem doszedł jeszcze do siebie po podróży poprzez sfery. Opium nie mogło zastąpić porządnego, zdrowego snu.

Ku jego zmartwieniu czarnowłosa alchemiczka Delilah, która swego czasu zaopatrywała pół miasta w najwymyślniejsze, sporządzone na zamówienie środki odurzające, zniknęła już z Shan Vaola. Od Veljanova dowiedział się, kto przejął po niej spuściznę i nie tracąc czasu, wybrał się tam.

Chociaż na powierzchni był środek nocy, na podziemnym targowisku Loss Fomar nie brakowało ani sprzedających, ani kupujących. Zawieszane na sznurach oliwne lampki kopciły, melanz nie zawsze przyjemnych woni przyprawiał o zawrót głowy. Żmij odszukał kram, w którym nad wejściem wisiała klatka z osowiałą małpką. Za zarzuconą rzeźbionymi drobiazgami ladą rozpierał się łysy handlarz z tatuażami na policzkach, sądząc z rysów Nedgvarczyk. Krzyżący krótko wyjaśnił, czego potrzebuje. Łysy zbladł, ale przyniósł z zaplecza małe, emaliowane puzderko z zielonym smokiem na wieczku. Wewnątrz był proszek podobny do śniegu.

– To cię zabić, jeśli ty to zażyć – ostrzegł Nedgvarczyk, śmiesznie kalecząc słowa. Żmij darował sobie wyjaśnianie, że *ka-ira* są mało wrażliwi na trucizny. Zapłacił bez targów żadaną sumę i wrócił do swojej kryjówki.

Proszek miał gorzki smak, wyczuwalny nawet po rozpuszczeniu odrobiny w kubku wody. Taka dawka wystarczała, żeby pozbawić życia zwykłego człowieka, zaś na czarnego maga powinna sprowadzić po prostu głęboki sen bez marzeń. W teorii.

Niestety, albo Delilah przewyższała kunsztem Nedgvarczyka, albo ten stosował odmienną recepturę, względnie źle zrozumiał, o co Żmijowi chodziło. Sen nadszedł, a jakże, już po krótkiej chwili. Ale wraz z nim przypląnęły wizje.

Czyli właśnie to, czego Krzyżący w Ciemności bardzo chciał uniknąć. Obrazów, które prześladowały go przez te wszystkie lata. Na jawie nie potrafił ich odtworzyć, lecz przypominał sobie wszystko, gdy tylko znów zaczynały się śnić.

Znał je dobrze, och, jak dobrze. Przeklęte, kłamliwe majaki...

...Przez uchylone okienko na poddaszu widać skrawek zachmurzonego nieba i morze spiczastych dachów, osnute mgiełką. W zawałonym mnóstwie ksiąg pokoiku ciemnowłosego chłopak gra na flecie. Powoli, z uwagą, powtarzając niektóre dźwięki, dopóki nie zabrzmie dokładnie tak, jak powinny. A potem dla odmiany szybko, coraz szybciej, bez wysiłku wykonując skomplikowane pasaży i trele. Kiedy utwór dobiega końca, chłopak uśmiecha się radośnie.

Salon o ścianach pokrytych wzorzystym jedwabiem; marmury, złocenia, obrazy, tłum wystrojonych gości. Blask świec pada na skupioną twarz młodego muzyka. Ten ma na sobie skromne czarne ubranie i białą koszulę ze stójką, wygląda prawie tak, jakby wszedł tu prosto z ulicy. Gra coś smutnego, a zebrani zachowują pełną szacunku ciszę.

Rozgwieżdżone niebo, plusk fal o brzeg. Muzyk i dziewczyna w długiej sukni idą brzegiem plaży; księżyc srebrzy spokojną powierzchnię morza.

Muzyk klęczy na bruku, przyciskając ręce do twarzy. Spod palców spływa krew.

Miasto zasnuwa dym. Zewsząd dobiega głuche bicie dzwonów. Na ulicach leżą trupy...

Krzyżący w Ciemności z jękiem targnął się na posłaniu. Przez mgłę snu czuł przeszywający ból, czuł, że krwawi.

Wiedział, że gdy się obudzi, blizny znów będą wyglądały na stare, dawno zagojone.

Wiedział, że gdy się obudzi, znów nie będzie niczego pamiętał.

* * *

Mosiężne dzwonki nad wejściem rozdzwoniły się, gdy Mavraiike energicznie pchnęła drzwi.

Wypełniająca wnętrze sklepu woń ziół, kadzidła, siarki i stęchlizny natychmiast przyprawiła ją o atak kichania. Na zakurzonych półkach stały szklane słoje z nieprzyjemnie wyglądającą zawartością, a także wszelkich rozmiarów butelki, szkatułki i puzdra. Wrażenie niesamowitości potęgował zwieszający się z sufitu wypchany bazyliśzek, już solidnie nadwerężony przez mole.

Za ladą stał zasuszony człowieczek w nie najczystszej czarnej szacie. Jego pomarszczone oblicze dodatkowo szpeciła wielka brodawka na nosie, obficie posmarowana łojem. Mamrocząc pod nosem, zawzięcie tłukł coś w wielkim moździerzu. Był to sam właściciel apteki, Ignatius Antimonius, przez wszystkich nazywany Cynamonem.

Na jej widok uśmiechnął się szeroko, demonstrując okropnie popsute zęby. Znał ją dobrze. Często przychodziła tu kupować składniki do trutek na szczury (stary Veljanov zwykł się chełpić, że zna ponad czterdzieści niezawodnych przepisów na takowe), ewentualnie anyż do anyżówki.

– Aaa, mała tancereczka z Podziemi! Witam, witam!

Mavraiike skrzywiła się. Nie cierpiała, kiedy ją tak nazywał.

– Przygotował pan to, o co prosiłam?

– Ano przygotowałem. – Wyjął spod lady pękatą buteleczkę z ciemnego szkła. – Masz czym zapłacić, rybeńko?

Mavraiike wysupłała z woreczka srebrną monetę i podała mu, wstrzymując oddech, bo zawartość moździerza zalatywała bliżej nieokreśloną nieświeżością. Aptekarz uniósł krzaczaste brwi, patrząc, jak dziewczyna pieczołowicie chowa nabytek za pazuchą.

– To dla ciebie?

– A dla kogóż by innego?

– Twój dziadek wie?

– Wie – skłamała. Brwi Cynamona uniosły się jeszcze bardziej, ale nie skomentował. Zamiast tego spytał:

– Wiesz, jak się tego używa?

– Nie – wyznała, rumieniąc się. Pokiwał głową; jak się zdawało, z politowaniem.

– Nie bój się, to takie proste, że aż śmiech. Starczy wypić co rano trzy kropelki z wodą albo mlekiem i już masz pewność, że bocian nie przyleci. Cacy miksturka, co?

– Kiedy to zacznie działać?

– W dniu, w którym zaczniesz zażywać. Jak rzekłem, to cacy miksturka. Nie uwierzyłabyś, ile panien ją u mnie zamawia. – Zachichotał nagle niczym złośliwy gnom, pocierając brodawkę. – Nie żadne ladacznice, ale córeczki porządnych mieszczan, a bywa, że i wysoko urodzone damy, choć te rzecz jasna przysyłają dla niepoznaki służące... Potrzebujesz jeszcze czegoś? – zagadnął, widząc, że Mavraiike nie spieszy się z odejściem, tylko nerwowo miętosi róg fartuszka.

Zawahała się.

– Powiem panu, ale na ucho, dobrze?

– Dobrze, rybeńko. – Aptekarz nachylił się i z powagą wysłuchał szeptanego wyjaśnienia.

– Jest aż taki brzydki? – Uniósł brwi, gdy dziewczyna umilkła.

– No nie, ale... – Policzki nieszczęsnej Mavraiike zaczynały przypominać dwa maki w pełnym

rozkwicie.

– Rozumiem. Boisz się, że będzie bolało, co? – Cynamon pokiwał ze zrozumieniem głową. Pogrzebał za ladą i wręczył jej jeszcze małeńki skórzany woreczek. – Masz, zażyj to sobie przedtem, ale nie wcześniej niż na godzinę przed. Najlepiej wciągnij szczyptę do nosa. Powinno załatwić sprawę.

* * *

To był dobry dzień; ani jednej pustej pułapki... Stary Veljanov, zmęczony, lecz zadowolony, nucąc pod nosem, ściągał w sieni zabłocone buty. Na widok wnuczki wyprostował się i przeciągle gwizdnął.

– Do kroćset! A cóżeś się tak wycytryniła?

Mavraike miała na sobie najlepszą, haftowaną w czerwone kwiaty spódnicę i wygrzebany z samego dna skrzyni odświętny kaftanik, a pod spodem białą jak śnieg koszulę. Mało tego; wbrew nakazom przyzwoitości rozpuściła swoje czarne włosy, rozczesała je tak, aby spływały falami na ramiona.

– Wybierasz się na jaki bal, czy co?

Mała spuściła głowę, skubiąc wyszywany cekinami mankiet.

– Dziadku, mam prośbę – szepnęła tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

– Gadaj śmiało.

– Wiesz, gdzie można teraz znaleźć Krzyczącego?

– A na co ci on? – Veljanov zmarszczył brwi.

– Pamiętasz tamtą historię z homunkulusami... Pomógł mi, może uratował życie, a ja... – Mavraike jąkała się coraz bardziej. Dziadek popatrzył na nią przenikliwie. Coś zaczynało mu świtać.

– Chcesz... podziękować?

– Tak.

Veljanov zrozumiał. Milczał długo, bardzo długo.

– Nie gniewaj się – dorzuciła pokornie, źle odczytawszy jego milczenie. – Myślę, że tak trzeba... To mag, nie godzi się mieć wobec niego długu... A jak inaczej mogę się odwdzińczyć?

– Nie gniewam się, kicia. – Stary niezgrabnie pogłaskał jej włosy. Westchnął ciężko. Święta prawda: nie miał żalu. Bo i czemu? W Podziemiach cnota ma krótki żywot. Sam nieraz rozmyślał, że Mavraike skończyła czternaście lat, jest już kobietą, prędzej czy później ktoś zechce wyciągnąć po nią rękę. To i lepiej, że wybrała sama... A że przeklęty? Zawsze mógłby się trafić ktoś gorszy.

– Strawy jakiej uszykowałaś, czyś się ino stroiła całe popołudnie?

Wytrzeszczyła oczy, zbita z tropu tak przyziemnym pytaniem.

– Nie, nie... to znaczy tak. Ugotowałam zupę. Na kiełbasie...

– To stawiaj ją na stół, na co czekasz. No, co tak patrzysz, stare próchno zgłodniało. Jak tylko zjem, zaprowadzę cię do żmija. Dobrze?

Gdy Mavraike zrozumiała, że mówi poważnie, uszczęśliwiona ucałowała go w oba policzki i wybiegła do kuchni. Słyszał, jak nuci, krzątając się wokół pieca.

* * *

W woreczku znajdował się proszek tak żółty jak pióra kanarka i słodko woniejący lukrecją.

Zgodnie z radą aptekarza Mavraike wciągnęła szczyptę do nosa. Trochę się bała, co z tego wyniknie, bo miała już złe doświadczenia z tabaką. Jeden jedyny raz dziadek pozwolił jej spróbować i kichała potem przez pół dnia.

Obawy okazały się płonne. Żółty proszek nie drażnił śluzówki jak tabaka. Właściwie prawie go nie poczuła. Dopiero po paru sekundach gardło wypełnił paskudny, gorzki smak, od którego na chwilę zrobiło się jej niedobrze. Ale tylko na chwilę. Potem przyszło cudowne uczucie lekkości; miała wrażenie, że wystarczy podskoczyć, żeby wzbić się w powietrze jak ptak... Ni z tego, ni z owego zrobiło się jej nadzwyczaj wesoło. Nabrała chęci, żeby się głośno roześmiać albo zanucić skoczną piosenkę, ot tak, bez

powodu.

Jej wzrok padł na węgle żarzące się w piecu. Westchnęła mimo woli, bo na jej oczach zmieniały barwę. To świeciły seledynowo, i wtedy jej ciało przenikał chłód, to czerwono, i wtedy czuła falę gorąca.

– Co się tak guzdrzesz, kicia, zasnął tam czy jak? – zawołał niecierpliwie z sieni Veljanov. – A może zmieniła zdanie?

– Nie, nie! – Poderwała się spieszenie, nie zapominając jednak schować woreczka z proszkiem w zanadrze.

Spodziewała się, że czeka ją wyprawa do jakiegoś tajemniczego zakątka Podziemi, więc poczuła się odrobinę zawiedziona, kiedy wyszli na powierzchnię. Na niebie jasno świecił księżyc. Mavraike wpatrzyła się weń z zachwytem. Jeszcze nigdy nie widziała takiego księżyca. Był olbrzymi, otoczony tęczową, migoczącą aureolą. Żałowała, że nie może się mu przyjrzeć dokładniej, ale szli szybko i przez cały czas musiała uważać, żeby się nie potknąć. Bruk wydawał się falować, a mijane domy to rosły, to malały, aż poczuła, że kręci jej się w głowie; na szczęście po paru minutach te doznania złagodniały.

Dziadek w milczeniu prowadził ją wąskimi, mało uczęszczanymi uliczkami starych dzielnic. Już zaczynała się bać, że zażyła narkotyk za wcześnie i w najważniejszym momencie okaże się, że jego działanie minęło, gdy w końcu dotarli na miejsce. Mavraike wstrzymała oddech, gdy wiatr przyniósł zza ogrodzenia delikatne dźwięki fletu.

Stary drewniany dom krył się w cieniu równie sędziwych drzew. Jego fasada niknęła za zasłoną dzikiego wina. Komin był przekrzywiony, dach – dziurawy. Zapuszczone klomby zarosły gęstwiną chwastów. Wyglądało na to, że nikt tu nie mieszka.

Veljanov pchnął furtkę, która otwarła się z pełnym protestu skrzypieniem. Wilgotny gąszcz ogrodu powitał ich cierpkim zapachem butwiejących liści i oszołamiającą słodczą czeremchą. Wielkie białe kiście zwieszały się nad spróchniałą werandą.

– Jesteśmy, kicia – Westchnął ciężko, patrząc z troską na wnuczkę. Zawahał się; wyraźnie chciał jej coś jeszcze powiedzieć, ale nie bardzo potrafił to ująć w słowa. – Pamiętaj, tego... ino się nie przestrasz, gdy cię dotknie. A gdybyś się przestraszyła, nie daj nic po sobie poznać. Obraziłabyś go okrutnie... Nie trza się bać, on ci nie robi krzywdy. No, idź już, śmiało. – Popchnął ją lekko.

Z bijącym sercem obeszła dom, brodząc po kolana w bujnej trawie. Skąpany w srebrzystej poświacie ogród wydawał się jej olbrzymi; wszystko falowało, jakby nie szła, a płynęła przez wodę. Liście, kwiaty i źdźbła świeciły jak w diamentowym lesie z bajki, po czarnym niebie pełzały błękitne refleksy. Gwiazdy drżały od ćwierkania świerszczy.

Z daleka dostrzegła flecistę. Siedział na kamieniu i grał. Mavraike słuchała jak oczarowana, póki utwór nie dobiegł końca. Dopiero wtedy odważyła się podejść.

Żmij nie poruszył się nawet wtedy, kiedy stanęła tuż za nim. Patrzył na księżyc.

– Nie jesteś zbyt czujny – stwierdziła, bo nic lepszego nie przyszło jej na myśl.

– Wiedziałem, że to ty – odparł, nie odwracając głowy. – Jak ci się zdaje, co najlepszego wyprawiasz?

– Zaraz pewnie mi powiesz, że nie powinnam się sama włóczyć po nocy.

– Nie powinnaś się sama włóczyć po nocy. Co tu robisz, do wszystkich diabłów? Nie wiesz, że niebezpiecznie jest się spotykać z takimi jak ja?

Jego gniewny ton tak rozbawił Mavraike, że z trudem powstrzymała się od wybuchnięcia perlistym chichotem. Nadal była porządnie ogłupiona – gdy popatrzyła na kwiaty rosnące koło ogrodzenia, odniosła wrażenie, że łodygi wiją się niczym węże.

Żmij wytarł chustką flet i schował go do futerału. Wyprostował się, odgarniając opadające na czoło włosy. Zauważyła na jego dłoni przyschnięte już oparzenia, posmarowane maścią.

– Co ci się stało?

– Nic. – Zbył pytanie machnięciem ręki. – Cholerny alembik pękł przy ogrzewaniu. Powiedz mi, czemu właściwie przysłaś?

– Ja... – Zabrakło jej słów. Nie potrafiła wyjaśnić, co czuje. Bo i jak wyjaśnić taką rzecz przekłębemu?

– Jak tu w ogóle trafiłaś? Pewnie Veljanov cię przyprowadził, co? Czy on do szczętu zgłupiał?

Przyznaj się, Mavraiike, to był jego pomysł czy twój?

– Mój. – Dziewczyna śmiało wytrzymała spojrzenie świecących, nieludzkich oczu. – To ja go uprosiłam.

– Czemu?

– Bo bardzo chciałam się z tobą zobaczyć. Podziękować... za tamto. Ale nie tylko dlatego.

Na długą chwilę zapadła cisza.

Ależ cię zaskoczyłam. Zaśmiała się cichutko, zachwycona tą myślą i całą sytuacją.

Podmuch wiatru zaszeleścił w zaroślach. Kwiaty czeremchy posypały się z gałęzi białym deszczem. Każdy z nich w powietrzu stawał się maleńką, srebrzystą istotką ze skrzydełkami. Stworki zawirowały wokół Mavraiike, jakby zapraszając ją do tańca. Wyciągnęła ręce, próbując je pochwycić, lecz rozplywały się jak mgła...

Żmij chyba dopiero teraz zorientował się, że coś tu jest nie całkiem w porządku. Ujął ją za ramiona, zajrzał z bliska w twarz.

– Brałaś coś? Jakieś prochy? Po co?

– Ja... – Nagle poczuła się speszona; słowa znów uwięzły jej w gardle. Jednak tym razem nie spuściła głowy.

Krzyczący w Ciemności przypatrywał się jej z nieodgadnioną miną.

Mavraiike zaczerpnęła tchu. Żółty proszek zwielokrotniał wszystkie, nawet najdrobniejsze fizyczne doznania. Całą sobą czuła ciepło promieniujące od rąk mężczyzny. Pachniał dziwnie, ale bynajmniej nie odpychająco. Czarna tunika przesiąkła dymem, obcą, lekko drażniącą wonią alchemicznych mikstur, gdzieś w tle kryła się słodkawa nuta opium. Dziewczyna objęła go powoli, przytuliła się, czując przyjemny dreszcz. Jeszcze nie do końca wiedziała, do czego to zaprowadzi, ale coś głęboko w niej już wiedziało.

Brune rozluźnił chwyt. Mógłby ją teraz puścić, cofnąć się; z właściwą sobie chłodną uprzejmością udawać, że nie zauważył i nie wie. Ale przecież nie tego chciała.

Pocałowała go ostrożnie w zeszpecony policzek, potem w szyję. Miała nadzieję, że on w końcu zrozumie. Do pioruna, chyba nie różnił się do tego stopnia od zwykłych ludzi!

Zrozumiał; albo tylko tak się jej zdawało. Niemal machinalnie zaczął gładzić jej włosy. Mavraiike pomyślała z satysfakcją, że nie darmo poświęciła godzinę na rozczesywanie ich, by stały się miękkie i lśniące jak jedwab.

– Pocałuj mnie – poprosiła, odchylając głowę do tyłu, ale nie zrobił tego. Przez chwilę wodził końcami palców po jej twarzy, obrysowując kontury oczu, policzków, ust. Żeby przełamać jego wahanie, sama szybko zrzuciła kaftanik, szarpnęła tasiemki koszuli. Jak obudzony ze snu, Brune łagodnie pociągnął ją na trawę.

Nie spieszył się, i to było miłe. Zsunął jej koszulę z ramion, ale na tym na razie poprzestał. Kiedy w przypływie sprowadzonej przez narkotyk odwagi zaczęła rozpinać haftki tuniki, odsunął jej dłonie, dając do zrozumienia, że woli, aby pozostała zupełnie bierna. Poddała się bez sprzeciwu, pozwalając, żeby wtulił twarz w jej szyję. Poświata sącząca się między liśćmi nadawała całej scenie pozory nierealności. Mavraiike nie zauważyła lub nie chciała zauważyć, że on całuje ją tam, gdzie płytko pod skórą przebiegają większe żyły, że wsłuchuje się w odgłos tętna. Był zbyt delikatny, żeby przestraszyć. Prawie nieśmiały.

– Pachniesz różami – szepnął w pewnej chwili. Wzięła to za żart, nie używała przecież perfum; nie stać jej było na taki luksus. Jej samej kręciło się w głowie od odurzającej woni czeremchy.

Chmura przesłoniła księżyc; wszystko utonęło w mroku.

I wtedy zaczęło się dziać coś niedobrego.

Mavraike poczuła strach.

Brune w jednej chwili stał się czarną, obcą postacią o żółtych źrenicach. Pamiętała, jaki jest silny mimo niepozornej postury. *Gdyby chciał, z łatwością mógłby mi skrócić kark...* Nie wiedziała, skąd w jej głowie właśnie teraz pojawiła się podobna myśl, ale podniecenie zgasło w niej równie nagle, jak zapłonęło.

– Puść mnie, chcę wstać – szepnęła. Udał, że nie słyszy. I teraz naprawdę zaczęła się bać.

– Puść! – powtórzyła głośnie, próbując odsunąć jego rękę. Jego dotyk przestał być przyjemny. Zaczęła dygotać. Nagle z całą wyrazistością poczuła bliskość skazy – to, czego wcześniej nie dopuszczała do świadomości: czerń i zgniliznę drzemiące w jego duszy, całe zło przepajające wężową jaźń *ka-ira*. Wrażenie było piorunujące. Jakby wpadła do rozgrzebanego grobu. Jakby znajdowała się w uścisku czegoś ohydneho, co wypełzło spod ziemi...

Krzyknęła zdławionym głosem. Brune tylko potrząsnął głową. Zorientował się, co jest grane, ale bynajmniej nie zamierzał jej puścić. Teraz to on dyktował warunki. Kiedy chciała się wyrwać, przygniótł ją całym ciężarem, zatkał ręką usta. Narkotyk nadal wyostrzał jej doznania, więc przerażenie i wstręt również zostały spotęgowane – aż do mdłości. Wydawało się jej, że tonie w zimnym, obrzydliwym szlamie. Że obejmuje ją oślizgły trup.

Z bardzo daleka usłyszała własny szloch. Nieoczekiwanie potwór zmienił zdanie i puścił ją. Mavraike zwinęła się w kłębek, dygocząc, zbyt wstrząśnięta, by krzyczeć. Potem usiadła. Nie miała siły uciekać. Bała się otworzyć oczy. Bała się tego, co mogłaby zobaczyć.

– Mavraike...

Jego głos drżał – czy z gniewu, czy z bólu, tego nie potrafiła rozpoznać. Dotknął jej ramienia.

– Nie! – Gwałtownie odepchnęła jego rękę. Wciąż bała się rozewrzeć powieki.

– Mavraike, podnieś głowę. Spójrz na mnie.

Zmusiła się, żeby usłuchać. Przez chwilę widziała jedynie ciemność. Potem księżyc na powrót wyłonił się zza chmur, zalewając wszystko chłodnym, spokojnym światłem.

Krzyżący stał o krok od niej, zapinając tunikę. Nie przypominał monstrum. Wyglądał tak samo jak zawsze. Miał minę, jakby ktoś go spoliczkował.

– No i co, moja ty odważna? – Prawą stronę jego twarzy wykrzywił tik. – Czerń nie jest tak piękna, jak to sobie wyobrażałaś?

Jego jadowity ton wyraźnie maskował urazę. *Skrzywdziłam go... albo tylko chce, żebym tak myślała...*

Dopiero teraz dotarło do niej, że nadal ma rozsznurowaną koszulę, a obnażoną skórę pokrywa gęsia skórka. Skrzyżowała ramiona, zasłaniając piersi. Żmij patrzył. Z politowaniem.

– Coś ci poradzę, dziecko. Na przyszłość trzymaj się z dala od *ka-ira*. Nie wszyscy są tak wyrozumiali jak ja, gdy się ich obraża.

Aż zaparło jej dech. Potem poczuła wściekłość, silniejszą od strachu. Chciała coś odpalić, lodowato i celnie – tak, żeby go naprawdę zabolalo. Wiedziała, że potrafi; jednak w ostatniej chwili ugryzła się w język. Powstrzymał ją tylko i wyłącznie rozsądek. *Nie drażnij gada.*

Ubrała się w milczeniu.

Krzyżący w Ciemności parsknął śmiechem. Poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Śmiał się cierpko i sarkastycznie, jak z okrutnego żartu.

Wciąż chichocząc, odszedł w mrok.

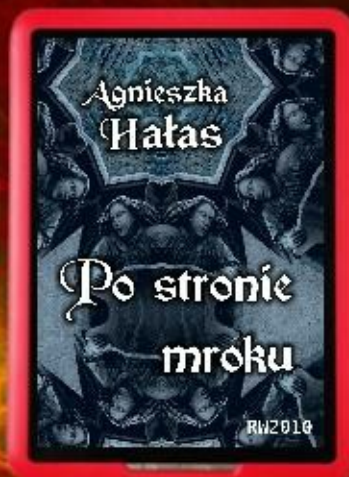
Autorka zaprasza na blog: <http://halas-agn.blogspot.com>. Znajdziecie tam miniartykuły z dziedziny magii, alchemii i historii medycyny, zdjęcia przyrody i zabytków, wiersze oraz inne ciekawe rzeczy.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń na każdy czytnik

Piekło ma wiele obliczy,
a wszystkie one stanowią część
planów Stwórcy.

Zbiór opowiadań połączonych
motywem Szeolu zabierze was w
podróż przez różne czasy i miejsca –
od współczesnej codzienności po
rubieże zaświatów. Zachowajcie
czujność. Demony czyhają.



Połowa XIX stulecia. W Warszawie,
w okopach Sewastopola, na
dalekich stepach Syberii, w polskich
miasteczkach trwają przygotowania
do buntu, który może zmienić
oblicze świata. Obdarzeni boskimi
mocami odmieńcy muszą
zdecydować, po której stronie
stanąć w nadchodzącym konflikcie.



**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!